

Clinton, Cruz czy Trump – co amerykańskie wybory mogą zmienić w USA i w Polsce?

1 lipca 2016

Polska nie funkcjonuje w próżni, lecz w układzie międzynarodowym, co nadaje sens śledzeniu wydarzeń politycznych w kraju położonym tak daleko od nas jak Stany Zjednoczone. Oddziałują one na nas zarówno jako światowe mocarstwo, a więc w zakresie stosunków międzynarodowych, jak i w innych dziedzinach, np. jako eksporter idei. Nastroje w USA i w Europie wpływają na siebie nawzajem. Tegoroczne wybory prezydenckie pełnią zatem dla mnie, jako bardzo odległego obserwatora, dwojaką rolę. Z jednej strony decydują, kto będzie rządził światowym supermocarstwem i sojusznikiem Polski, co może mieć wpływ na naszą pozycję międzynarodową. Z drugiej – udzielią odpowiedzi na pytanie, jakie nastroje przeważają w Stanach Zjednoczonych i w jaki sposób będą oddziaływały na nastroje europejskie.

JAK SIĘ WYBIERA?

Wybory prezydenckie w USA odbywają się w specyficznym trybie. Istnieje wprowadzie głosowanie powszechne, ale wyłania ono tylko członków Kolegium Elektorów, które wybiera głowę państwa. Jest ich obecnie 538, a każdy stan wybiera tylu elektorów, ilu ma łącznie reprezentantów i senatorów. Liczba senatorów jest stała – po dwóch z każdego stanu, a grupa reprezentantów – proporcjonalna do liczby ludności danego stanu, więc w nieco ponad półmilionowym Wyoming będzie to 1 osoba, w trochę ponad trzydziestoośmiomilionowej Kalifornii – 53. Wybory mają charakter większościowy – zwycięzca bierze wszystkie głosy danego stanu (wyjątkiem są Nebraska i Maine, w których przegrany może dostać część głosów, jeśli wygra w którymś z okręgów). W takim systemie jest możliwe, aby

zwycięzca głosowania powszechnego przegrał w głosowaniu elektorskim – zdarzyło się tak cztery razy. Aby zostać prezydentem, trzeba zdobyć ponad połowę głosów elektorskich, czyli 270. W razie nieprzekroczenia tego progu przez żadnego z kandydatów, np. w przypadku remisu (co zdarzyło się jeden raz) lub rozdrobnienia elektoratu (również jeden raz), wyboru spośród trzech kandydatów z największą liczbą głosów elektorskich dokonuje Izba Reprezentantów. Głosy liczy się wtedy stanami – aby zostać wybranym, trzeba uzyskać głosy ponad połowy stanów. Równocześnie wyłania się wiceprezydenta, a w razie niewybrania go przez Kolegium Elektorskie wyboru dokonuje Senat. Wyborów przedterminowych nie przewiduje się – w razie śmierci prezydenta między wyborem a rozpoczęciem kadencji urząd obejmuje wiceprezydent, podobnie jak w razie śmierci na urzędzie (co zdarzyło się osiem razy, w tym cztery razy z powodu morderstwa) lub rezygnacji (jeden przypadek).

Prezydentem może zostać tylko ktoś, kto jest obywatelem kraju z urodzenia – nabył obywatelstwo na terytorium USA lub za granicą z amerykańskich rodziców. Musi mieć ponadto ukończone 35 lat i mieszkać na terenie USA od co najmniej 14 lat. Maksymalna liczba kadencji to dwie. Jeżeli prezydent objął urząd w drodze sukcesji po poprzedniku i sprawował go krócej niż dwa lata – wówczas może ubiegać się o dwie pełne kadencje. Jeżeli dłużej – tylko o jedną.

Równocześnie odbywają się wybory do Izby Reprezentantów i do Senatu, choć zmianie ulega jedynie 1/3 senatorów. Senatorów wybiera się w poszczególnych stanach, a reprezentantów – w jednomandatowych okręgach wyborczych.

System partyjny jest zdominowany przez dwie partie: Demokratów i Republikanów. Świadczą o tym liczby: 435 reprezentantów (a więc wszyscy), 98 na 100 senatorów i 49 na 50 gubernatorów należy do jednej z dwóch głównych partii. Kandydaci na prezydenta w pierwszej kolejności ubiegają się o nominację jednej z dwóch partii. W każdym stanie i niebędącym stanem terytorium odbywają się prawyборы (przypominające typowe

wybory) i „caucus” (przypominające zjazdy partyjne). Zależnie od wyników kandydaci otrzymują określoną pulę delegatów. Jest też grono „unpledged delegates” czy też „superdelegates”, którzy nie są związani wolą wyborców – to najważniejsi działacze: członkowie Kongresu, gubernatorzy i wysoko postawieni funkcjonariusze partyjni. Wszyscy delegaci pod koniec lipca zbierają się na Konwencji. Przyznaje ona nominację temu z kandydatów, który uzyska bezwzględną większość głosów. Jeżeli żaden nie uzyska jej w pierwszym głosowaniu, delegaci głosują do skutku, z tym że od drugiego głosowania nie są już związani wolą wyborców, co stwarza możliwość zakulisowych targów. Po uzyskaniu nominacji kandydat przedstawia swojego „running mate”, czyli kandydata na wiceprezydenta.

KTO NA PREZYDENTA?

W rozpoczętych 1 lutego prawyborach z dwóch głównych partii wystartowało 15 kandydatów (3 z Partii Demokratycznej i 12 z Partii Republikańskiej). W momencie powstawania artykułu zostało ich pięciu – 2 Demokratów i 3 Republikanów. Ich prezentację rozpocznę od lewej strony politycznej sceny.

74-letni senator Bernie Sanders urodził się w żydowskiej rodzinie polsko-rosyjskiego pochodzenia. Jego ojciec przybył do USA ze Słopnic w powiecie limanowskim. Sanders nie jest członkiem żadnej partii, choć ubiega się o nominację Demokratów. Począwszy od lat 60. XX wieku, kiedy brał udział w protestach antywojennych i antysegregacyjnych, był działaczem niewielkich ugrupowań socjalistycznych, które kontestowały system dwupartyjny. W latach 1981-1989 był burmistrzem Burlington w stanie Vermont, a wybory wygrywał, mając przeciw sobie kandydatów obu partii. Jako burmistrz, oprócz wprowadzania lewicowych rozwiązań na lokalnym poletku, przejawiał zainteresowanie sprawami ogólnoswiatowymi, o czym świadczą wysyłane przez niego apele: do przywódców nuklearnych mocarstw o rozbrojenie, do prezydenta RPA o zakończenie „apartheidu”, do Ronalda Reagana o zaprzestanie finansowania

prawicowych organizacji terrorystycznych w Ameryce Łacińskiej, do Margaret Thatcher o zakończenie wojny w Irlandii Północnej. Już wtedy popierał prawo osób pozostających w związkach homoseksualnych do zawierania małżeństw. Radykalnie lewicowe jak na USA poglądy i dystans do obu głównych partii uczyniły Sandersa postacią rozpoznawalną poza Burlington, dzięki czemu w 1991 roku został kongresmenem.

W czasach prezydentury George'a W. Busha Sanders nawiązał współpracę z Demokratami m.in. na gruncie krytyki agresji na Irak i innych tego typu metod „walki z terrorem”. Wciąż jednak nie wstąpił do tej partii („Czasami jest Demokratą” – jak powiedziała senatorka Barbara Boxer), w pewnych kwestiach zawierał jednak sojusze idące w poprzek podziałów partyjnych – o krytyce Banku Centralnego i powiązań państwa z wielkim biznesem mówił tym samym głosem, co libertariański kongresmen Ron Paul. Po ośmiu reelekcjach Bernie Sanders zdecydował się w 2006 roku na start w wyborach do Senatu, znów jako kandydat niezależny. Tym razem jednak nie miał przeciwko sobie Demokratów – zdecydowali się oni nie wystawiać własnego kandydata i poparli Sandersa. W podobny sposób uzyskał reelekcję w 2012 roku.

Określa się jako demokratyczny socjalista. Jego obietnice wyborcze oparte są na rozwiązaniach stosowanych w krajach skandynawskich. Krytykuje układy o wolnym handlu, postuluje uspołecznienie uczelni wyższych, podwyżkę płacy minimalnej, rozszerzenie systemu ubezpieczeń zdrowotnych, reformę prawa pracy w kierunku zwiększenia uprawnień pracowników, złagodzenie polityki kryminalnej (np. legalizacja narkotyków, likwidacja prywatnych więzień), zniesienie (powszechnej po zmachach 11 września) inwigilacji czy też wprowadzenie podatku od transakcji finansowych.

O nominację Demokratów ubiega się też 69-letnia Hillary Clinton, która ma szansę zostać pierwszą kobietą na stanowisku prezydenta USA. Urodzona w konserwatywnej rodzinie (jako 17-latka była wolontariuszką w kampanii wyborczej Barry'ego

Goldwatera, ultrakonserwatywnego republikańskiego kandydata na prezydenta z 1964 roku), zmieniła poglądy pod wpływem kazań lewicującego pastora Dona Jonesa. Na studiach była już zaangażowana w ruch antywojenny i w 1972 roku wspierała lewicowego kandydata George'a McGoverna. W tym okresie poznała też swojego późniejszego męża, gubernatora Arkansas i prezydenta, Billa Clintona.

Za jego prezydentury była aktywna politycznie – pracowała nad ustawami gwarantującymi pomoc rodzinom adopcyjnym i zastępczym oraz ich dorosłym wychowankom, jak również nad nieprzyjętym przez Kongres projektem ustawy o ubezpieczeniu zdrowotnym dla rodzin z dziećmi. Równocześnie jednak Clinton niejednokrotnie była w ogniu krytyki. Przykładem może być afera Whitewater, dotycząca spółki działającej na rynku nieruchomości, w której Clinton miała udziały i która zbankrutowała w niewyjaśnionych okolicznościach (dokumenty zaginęły). Podejrzewa się, że firma prowadziła nielegalne interesy ze stanem Arkansas, którego gubernatorem był wówczas nie kto inny, jak Bill Clinton. Kontrowersje budzi także jej postawa wobec pozamałżeńskich przygód męża, który romansował z piosenkarką Gennifer Flowers oraz z urzędniczkami Paulą Jones i Moniką Lewinsky. To właśnie te dwa ostatnie romanse i związane z nimi kłamstwa prezydenta doprowadziły do wszczęcia wobec niego procedury” impeachmentu” – Hillary Clinton opowiedziała się wówczas po stronie męża i publicznie szkalowała jego kochanki („Monica Lewinsky jest częścią rozległego prawicowego spisku”).

Pod koniec prezydentury Billa, w 2001 roku, Clinton została senatorką. W Senacie była przedstawicielką prawego skrzydła Demokratów – m.in. uznawała małżeństwo za związek mężczyzny i kobiety oraz głosowała za takimi republikańskimi inicjatywami, jak wojna w Iraku czy zakaz znieważania flagi. Wielu komentatorów odbierało to jako chęć zdobycia poparcia centrowych wyborców w wyborach prezydenckich. Istotnie, Clinton wystartowała w nich w 2008 roku, ale przegrała prawybory z Barackiem Obamą. Po jego wygranej została

sekretarzem stanu, doprowadzając do krótkotrwałego ocieplenia stosunków z Rosją oraz do interwencji w Libii (jak sama ją podsumowała: „przyszliśmy, zobaczyliśmy, zginął” [chodzi o libijskiego dyktatora Muammara al-Kaddafiego]). Jej działalność na tym stanowisku spotyka się z krytyką – przeciwnicy oskarżają ją o zaniedbanie bezpieczeństwa konsulatu w libijskim Bengazi, gdzie w 2012 roku zginął ambasador USA, czy też o nielegalne przechowywanie niejawnych mejli (z których wynika, że USA przejęły libijskie złoto po wspomnianej interwencji) na prywatnej skrzynce. Hillary Clinton ma więc doświadczenie na najwyższych szczeblach władzy, również w sensie negatywnym.

Spośród kandydatów republikańskich najbliżej centrum sytuuje się 63-letni John Kasich, gubernator stanu Ohio. Jest wnukiem imigrantów z Czech i Chorwacji. W latach 1983–2001 był kongresmenem, a w latach 1995–2001 przewodniczył Komisji Budżetu Izby Reprezentantów. Podczas pracy na tym stanowisku doprowadził do uchwalenia w 1997 roku ustawy budżetowej, która – po raz pierwszy od 1969 roku – wprowadziła budżet zrównoważony, tj. taki, w którym dochody równe są wydatkom. Przeprowadził też reformę systemu opieki społecznej, która – przez ustalenie limitu czasu przysługiwania zasiłków oraz wprowadzenie obowiązku pracy beneficjentów – miała doprowadzić do zmiany charakteru opieki społecznej z „rozdawniczego” na „aktywizacyjny”. W tym czasie Kasich miał dobre relacje z Demokratami – wielu z nich poparło napisane przez niego ustawy, a prezydent Clinton je podpisał. Ponadto zasiadał w Komisji Sił Zbrojnych, w której – wbrew konserwatystom – poparł Clintona w ograniczeniu dostępu do broni palnej. Jednak potem, w 1998 roku, głosował za postawieniem go w stan oskarżenia. Po odejściu z Izby Kasich prowadził audycję w konserwatywnej stacji FOX News, a następnie pracował w banku Lehman Brothers. Do polityki wrócił w 2010 roku po zwycięskich wyborach na gubernatora Ohio. W 2014 roku uzyskał reelekcję. Jako gubernator obniżył deficyt budżetowy, ciął wydatki i podnosił niektóre podatki. Popiera konstytucyjny zakaz budżetu

z deficytem, tj. takiego, który prowadzi do zwiększenia zadłużenia stanu lub państwa. Jest też zwolennikiem szkół czarterowych, czyli placówek prywatnych, nieobjętych państwowym programem nauczania, ale finansowanych z publicznych pieniędzy i rozliczanych za efekty. Sprzeciwia się aborcji, choć stwierdził, że zgwałconej córce pozwoliłby na dokonanie zabiegu. Jest też przeciwny stosowaniu marihuany nawet do celów medycznych, ale popiera prawo poszczególnych stanów do decydowania o tej kwestii. Prezentuje ponadto stanowisko krytyczne wobec postulatów ochrony środowiska, co wynika z interesów wielkiego biznesu w stanie Ohio, gdzie kwitnie wydobywanie surowców energetycznych. Nie popiera małżeństw homoseksualnych, ale deklaruje, że skoro ich zniesienie wymaga wprowadzenia poprawki do Konstytucji, to nie poprze jej. Opowiada się za pozostawieniem nielegalnym imigrantom możliwości uregulowania ich statusu, poparł również wprowadzone przez Obamę powszechne ubezpieczenia zdrowotne.

Zdecydowanie po prawej stronie sytuje się 45-letni Ted Cruz, senator z Teksasu. Ma szansę zostać pierwszym prezydentem USA urodzonym za granicą (w Kanadzie) i pierwszym pochodzenia latynoskiego (jego ojciec jest Kubańczykiem). Poglądy Cruza można określić mianem konserwatywnego libertarianizmu – dał się poznać jako zwolennik wolnego handlu, obniżki podatków i zniesienia płacy minimalnej. Sprzeciwia się aborcji, obowiązkowi szkolnemu, obowiązkowym ubezpieczeniom zdrowotnym, małżeństwom homoseksualnym i związkom partnerskim. Neguje nadto globalne ocieplenie i krytykuje rządowe programy ochrony środowiska. Ponieważ jego poglądy na ochronę środowiska przeczą uznanym naukowo faktom, Cruz porównuje się do Galileusza, który też negował dotychczasową wiedzę (Barack Obama skomentował to słowami: „Galileusz uważał, że Ziemia kręci się wokół Słońca. Ted Cruz uważa, że Ziemia kręci się wokół Teda Cruza”). Cruz jest też przeciwny federalnej wojnie z narkotykami, rozpoczętej przez Nixona i podsyconej przez Reagana – uważa, że każdy stan ma prawo decydować o polityce narkotykowej. Jest zwolennikiem kary śmierci, wolnego dostępu

do broni i twardej polityki imigracyjnej (popiera budowę muru na granicy z Meksykiem). W polityce zagranicznej jego priorytetem jest Izrael, a głównymi wrogami – Iran i Państwo Islamskie. Cruz jest skłócony z prawie całą Partią Republikańską, której zarzuca zdradę ideałów. Przynależność do niej traktuje jako smutną konieczność w obliczu zabetonowanego dwupartyjnego systemu. Sam o sobie powiedział: „Po pierwsze – jestem chrześcijaninem, po drugie – Amerykaninem, po trzecie – konserwatystą, a potem – Republikaninem”.

Ostatnim kandydatem jest 69-letni Donald Trump, miliarder z Nowego Jorku. Omawiam jego postać na końcu nie dlatego, że jest najbardziej prawicowym z kandydatów, choć niejednokrotnie określano go w polskich mediach mianem „skrajnie prawicowego, ultrakonserwatywnego” czy nawet „anarchokapitalisty”. Próba przypisania Trumpowi poglądów jest karkołomna. Moim zdaniem jest on daleki od amerykańskiego konserwatyzmu. Dużo bliżej mu do europejskich ruchów nacjonalistycznych, choć to też uproszczenie. Nie pełnił dotąd żadnych funkcji publicznych. Jest biznesmenem, dziedzicem wielomiliardowej fortuny swego dziadka, imigranta z Niemiec. Działa na rynku nieruchomości. Jest ponadto osobowością telewizyjną. Występował w „reality show” „The Apprentice”, jako miłośnik wrestlingu występował na jego galach, a raz nawet bił się z Vincem McMahonem, prezesem World Wrestling Entertainment.

Popularność zawdzięcza temu, że jest człowiekiem z zewnątrz, nieskażonym dotychczasową polityką. W obliczu mody na antysystemowość jest to atut w oczach opinii publicznej. Trump, w przeciwieństwie do kontrkandydatów, unika konkretów w swym programie wyborczym. Hasło „Make America Great Again” jest odpowiedzią na wszystko. Co więcej, wielokrotnie w życiu zmieniał przynależność partyjną i poglądy: był Demokratą, Republikaninem, członkiem Partii Reform, powtórnie Demokratą, potem niezależnym i znów Republikaninem. Opowiadał się za publiczną służbą zdrowia (idąc dalej niż Obama, który wprowadził jedynie obowiązek posiadania ubezpieczenia

zdrowotnego), by teraz, choć bez konkretów, krytykować ten pomysł. Oceniał negatywnie elektrownie wiatrowe, by potem je popierać. Wzywał policję do aresztowania osób zakłócających jego wiece, by następnie domagać się wolności słowa. Wzywał do legalizacji narkotyków i do wojny z nimi. Jeżeli chodzi o obecnie głoszone poglądy, najwięcej rozgłosu przysparza mu ostre stanowisko antyimigranckie – jest za wzniesieniem muru na granicy z Meksykiem i obciążeniem tego kraju kosztami budowy. Popiera też zakaz imigracji muzułmanów. Obecnie antyimigranckie podejście jest typowe dla Republikanów (choć w 1980 roku dwaj republikańscy kandydaci – Ronald Reagan i George Bush Senior – prześcigali się w debacie, który z nich jest bardziej proimigrancki), ale sposób prezentowania tego stanowiska przez Trumpa odbiega mocno od politycznej rutyny. Kandydat ten potrafił też obrazić dziennikarkę prawicowej stacji FOX News, gdy zadawała mu niewygodne pytania. Zasugerował, że cierpi z powodu dolegliwości menstruacyjnych. Nie była to zresztą jedyna wyrażona przez niego seksistowska opinia – o Hillary Clinton powiedział: „jeżeli nie umie zadowolić swego męża, dlaczego myśli, że umie zadowolić Amerykę? ”

Trump wyróżnia się na tle innych współczesnych amerykańskich polityków podejściem do spraw zagranicznych. Po latach interwencjonizmu jest przeciwko interwencji w Libii, a wojnę w Ukrainie uważa za wewnętrzną sprawę Europy. Zamierza też ograniczyć dotychczasowy liberalny charakter handlu zagranicznego i wprowadzić silny protekcjonizm, co wyraził w przemówieniu skierowanym do Chin, Arabii Saudyjskiej i krajów OPEC (kartelu państw-eksporterów ropy naftowej): „Słuchajcie, skurwysyny! Zamierzamy nałożyć na was 25% podatku!”

CO ZMIENIA WYBORY?

Prezydent sprawuje władzę wykonawczą. Ogranicza go zasada trójpodziału władz i to, czy zrealizuje postulaty, będzie zależało także od wyniku równoległe przeprowadzanych wyborów do Kongresu, który ma władzę ustawodawczą. Po ośmiu latach

rządów Baracka Obamy Stany Zjednoczone przesunęły się nieco w lewą stronę. Tegoroczne wybory wyznaczają kurs na następne lata. Dziś ideologia odgrywa bowiem dużo większą rolę niż niegdyś. Jeszcze w latach 80. zeszłego stulecia Longin Pastusiak, pisał, że cechą amerykańskiego systemu partyjnego jest „me-tooism” (ang. „me too „– „ja też”), polegający na głoszeniu przez obie partie podobnych poglądów. Jego zdaniem wybory były starciem osobowości, a nie wizji. Jeśli chodzi o tamte czasy, trzeba przyznać Pastusiakowi rację. Bardzo długo podziały ideologiczne szły w poprzek podziałów partyjnych. Jednak od niedawna scena polityczna jest bardziej spolaryzowana, a partie polityczne – bardziej skupione wokół ideologii, na co wskazują wyniki głosowań w Kongresie.

Oznacza to, że wybór Hillary Clinton z jej umiarkowanymi, centrolewicowymi i dostosowanymi do nastrojów społecznych (żeby nie powiedzieć konformistycznymi) poglądami przyniesie dalsze skręcanie USA w lewo. Z kolei prezydentura Berniego Sandersa, głoszącego od 50 lat lewicowe i nie zawsze popularne poglądy, oznaczała będzie skręt w lewo, ale dużo ostrzejszy. Choć Sanders w Europie uchodziłby za socjaldemokratę, a może nawet za przedstawiciela lewego skrzydła chadecji, to w Stanach Zjednoczonych głoszone przez niego opinie były poza głównym nurtem. Przed 2015 roku dzieliły je tylko mniejsze ugrupowania i niezależni politycy. Uważam więc, że Sanders, ubiegając się o nominację Partii Demokratycznej, nie zdradził swych ideałów – nie dość, że pozostał im wierny, to wprowadził je do szerokiej debaty publicznej. Jego przeciwnicy polityczni mogą się z tym nie zgadzać, ale muszą się już liczyć z ruchem stojącym za Sandersem, nie mogą go po prostu przemilczeć – nie są w stanie sprowadzić lewicowych postulatów do słabo słyszalnego głosu mikrolewicy. Sanders przebił się do publicznej debaty jako pełnoprawny uczestnik. W tym sensie pewien skręt w lewo już się dokonał.

Wybór Teda Cruza będzie z kolei powrotem Stanów Zjednoczonych na prawą stronę. Jego poglądy są jeszcze bardziej

konserwatywne niż Ronalda Reagana czy George'a Busha, więc z pewnością będzie dążył do zniwelowania przynajmniej w części efektów ośmiu lat rządów centrolewicowego Obamy. Oznacza to zmniejszenie roli państwa w gospodarce i postawienie na wolny rynek jako najlepszy środek do osiągnięcia dobrobytu. W sprawach społeczno-obyczajowych będzie natomiast prowadził politykę zgodną z oczekiwaniami duchownych, zwłaszcza protestanckich, przeważnie dużo bardziej konserwatywnych niż księża katoliccy. Jakkolwiek prezydent nie jest wszechwładny i nie zdoła po prostu zadekretować swych poglądów i celów, to z pewnością wybór konserwatysty będzie oznaką pewnych nastrojów społecznych – zachodzi tu sprzężenie zwrotne, gdyż będzie on równocześnie motorem konserwatywnych przemian. Wybór Johna Kasicha to również – łagodniejszy wprowadzić – zwrot w prawo. Z kolei zwycięstwo Donalda Trumpa oznaczałoby chyba największy ideologiczny przewrót w historii USA. Będzie to bowiem sygnał, że nie tylko nastąpił skręt w prawo, ale też na samej prawicy doszło do przełomu – główną jej siłą nie będą bowiem konserwatyści (z często libertariańskim odchyleniem), ale Trump i jego zwolennicy – ci, którym ideowo dużo bliżej do europejskich nacjonalistów.

Warto też wspomnieć o prerogatywie prezydenta do powoływania sędziów Sądu Najwyższego. Instytucja ta posiada prawo interpretacji Konstytucji, dzięki czemu może uznawać akty prawne za niekonstytucyjne. Tą drogą sankcjonowano ongiś niewolnictwo, potem zniesiono segregację rasową w szkołach, ograniczono karę śmierci, zalegalizowano aborcję i małżeństwa homoseksualne. Sędziów SN jest 9 i są nieusuwalni – pełnią funkcję do śmierci albo rezygnacji. Obecnie w SN zasiada czterech liberałów, trzech konserwatystów i jeden sędzia będący języczkiem u wagi. Jedno stanowisko wakuje. Uzupełni je nominat zwycięzcy wyborów. Ponadto można się spodziewać, że w czasie jego 4-letniej kadencji zwolnią się następne, gdyż kilku sędziów jest w podeszłym wieku. Toteż zwycięstwo Demokracji może skutkować np. zniesieniem kary śmierci czy uznawaniem za konstytucyjne popieranych przez Demokratów aktów

prawnych (np. dotyczących ograniczenia wolnego dostępu do broni). Odwrotny skutek przyniesie oczywiście zwycięstwo Republikanina.

SPRAWA POLSKA

„Pojęcie Stanów Zjednoczonych kojarzy się ludziom w Polsce z wolnością i demokracją, ze wspałością i ofiarnością, z ludzką przyjaźnią i przyjaznym człowieczeństwem. Wiem, że nie wszędzie Ameryka tak jest postrzegana. Ja mówię o tym, jaki jest obraz w Polsce, obraz ten został utrwalony przez liczne dobre doświadczenia historyczne” – tak opisał relacje polsko-amerykańskie Lech Wałęsa, przemawiając 15 listopada 1989 roku przed połączonymi izbami Kongresu. Polska nigdy nie była pod amerykańskim butem, wrogów mieliśmy gdzie indziej. Nasze relacje były dobre: począwszy od udziału Polaków w wojnie o niepodległość USA, przez wsparcie dla odzyskania przez Polskę niepodległości po I wojnie światowej i podobnie w czasie rządów komunistycznych, aż po wejście Polski w NATO. Bywały i epizody dla Polski niekorzystne, jak zdrada jałtańska, albo przynajmniej kontrowersyjne, jak wspieranie takiego, a nie innego modelu transformacji, z narzuceniem popieranego przez USA modelu gospodarki i naciskaniem na udział w niej komunistów, co przejawiało się choćby poparciem dla prezydentury Jaruzelskiego. Nie zmienia to faktu, że w ostatecznym rozrachunku USA są dziś sojusznikiem Polski. Nie zmieni tego amerykańska dezaprobatą wobec poczynąń polskiego rządu w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. W jakim kierunku będą podążać relacje polsko-amerykańskie po wyborach w Stanach?

Aby to zrozumieć, należy przede wszystkim zdjąć ideologiczne okulary. Jako stały czytelnik doniesień polskich mediów poświęconych amerykańskiej polityce, a także jako założyciel facebookowej grupy „Wybory w USA”, zaobserwowałem, że wielu Polaków zabierających głos w tej sprawie identyfikuje się z kandydatami w oparciu o ideologiczną zbieżność. W wielkim skrócie: lewicowcy popierają Demokratów (głównie Sandersa), a

prawicowcy – Republikanów (głównie Trumpa). Moim zdaniem takie podejście traci plemiennością. Polityka międzynarodowa nie jest grą ideologii. Jeżeli ktoś chce się utwierdzić w słuszności swych poglądów – niech kibicując konkretnemu kandydatowi, patrzy na jego poglądy. Jeżeli myśli o Polsce w układzie międzynarodowym – powinien zachować dystans.

Bernie Sanders, który osobiście jest mi bliski ideologicznie, pod względem polskich racji budzi pewne obawy. Z jednej strony jest Amerykaninem polskiego pochodzenia, ponadto po napaści Rosji na Ukrainę wzywał Obamę do nałożenia na agresora sankcji. To oczywiście zaleta Sandersa, ponieważ Rosja jest potencjalnym zagrożeniem dla Polski. Jest też Sanders zwolennikiem kontynuowania działalności NATO. Są w Polsce środowiska kibicujące mu – ciepło pisze o nim „Gazeta Wyborcza”, oficjalnego poparcia udzieliła mu partia Razem. Jednak, z drugiej strony, chce on rozszerzenia NATO o Rosję. Rzecz jasna wymagałoby to od Rosji zahamowania agresywnej polityki (co tymczasowo jest ona w stanie – moim zdaniem – zrobić). Czy jednak nawet z łagodniejszą Rosją zbliżenie amerykańsko-rosyjskie jest dla nas korzystne? Śmiem wątpić. Znaczenie Polski, jako kraju położonego na wschodniej flance NATO, rośnie w sytuacji napięcia. W sytuacji odprężenia – zbliżenie między mocarstwami następuje ponad głowami Polski.

Hillary Clinton będzie kontynuowała dotychczasową politykę Obamy. Sama zresztą przez pierwszą kadencję była jej architektem jako Sekretarz Stanu (odpowiednik Ministra Spraw Zagranicznych). Na początku doprowadziła do resetu (czyli odprężenia) stosunków z Rosją. Kiedy jednak po tej chwilowej poprawie Rosja wsparła prezydenta Syrii Baszszara al-Asada, do obalenia którego dążyły USA, a następnie najechała Ukrainę, relacje znacznie się pogorszyły. Ponadto USA poparły demokratyczne protesty w Moskwie w 2012 roku – czego efektem było szkalowanie Hillary Clinton w mediach rosyjskich oraz zakaz przyjmowania zagranicznych funduszy przez rosyjskie organizacje pozarządowe. Obecnie utrzymuje się stan napięcia,

moim zdaniem korzystny dla Polski. Można przypuszczać, że prezydentura Hillary Clinton nie przyniesie zmian w tej materii. Prawdopodobnie będzie też nawiązywała do polityki swego męża, a to właśnie za jego prezydentury Polska weszła do NATO. Przewidywalność tej polityki jest dla Polski zaletą, co przyznali nawet dwaj prawicowi komentatorzy z Ośrodka Analiz Strategicznych, Witold Jurasz i Jarosław Guzy, którzy uznali ją za kandydatkę najkorzystniejszą dla Polski. Minusem natomiast są powiązania jej sztabu wyborczego z Kreml, ujawnione w „Panama papers” – Tony Podesta, skarbnik sztabu, to lobbysta rosyjskiego Sperbanku, który przez kontrwywiad NATO i rosyjską opozycję demokratyczną jest uważany za siedlisko rosyjskiej agentury.

Ted Cruz ideologicznie jest mi odległy, ale uważam go za kandydata przychylnego Polsce. Wprawdzie nasz region nie jest dla niego priorytetem (za najważniejszego sojusznika uważa Izrael, a za najważniejszy obszar aktywności USA – Bliski Wschód), ale odwołuje się do Ronalda Reagana i chce silnego NATO ze wzmocnioną wschodnią flanką. Można się spodziewać, że pójdzie jeszcze dalej niż Obama, który doprowadził do rotacyjnej obecności 5 tysięcy żołnierzy w krajach flanki wschodniej. Cruza darzą w Polsce sympatią media bliskie PiS. Spośród polskich polityków ciepło wypowiadał się o nim Tomasz Siemoniak z PO, były szef MON.

Zwolennikiem „jastrzębiej” polityki zagranicznej jest John Kasich. Niegdyś był on sympatykiem George’a W. Busha. Dziś zmienił opinię – twierdzi, że gdyby wiedział, że w Iraku nie było broni masowego rażenia, nie poparłby inwazji, uzasadnianej rzekomą obecnością takiej broni. Nadal jednak jest zwolennikiem zwiększania budżetu sił zbrojnych, demonstrowania potęgi oraz wspierania Ukrainy dostawami uzbrojenia. Jego prezydentura oznaczałaby interwencję w obronie interesów amerykańskich, co pozwoliłoby sojusznikom Ukrainy czuć się bezpiecznie. Kasichowi polscy komentatorzy nie poświęcają zbyt dużo uwagi ze względu na jego słabe

notowania i niskie prawdopodobieństwo wygranej, ale z pewnością znalazłby wspólny język z proamerykańskimi środowiskami w naszym kraju. Tym bardziej, że jest kandydatem republikańskiego establishmentu – zadziałyby tu kontakty z Republikanami wypracowane przez lata.

Donald Trump to dla Polski opcja najgorsza z możliwych. Nie bez powodu popiera go Aleksander Dugin, ideolog rosyjskiego imperializmu. Trump uważa konflikt w Ukrainie za wewnętrzną sprawę Europy, toteż Polska, angażując się we wsparcie Ukrainy, byłaby osamotniona na arenie międzynarodowej. Krytykuje NATO, jego priorytetem jest rywalizacja z Chinami. Można przypuszczać, że dążyłby do układu z Rosją przeciwko Chinom. Pierwszą taką próbę podjął w 2001 roku George W. Bush na szczycie w Słowenii, jednak kilka lat później zarzucił tę politykę, stąd pomysł tarczy antyrakietowej w Polsce. Gdy władzę objął Obama, spróbował po raz drugi – ogłosił nowy początek relacji z Rosją, wyrzucając przy tym do kosza projekt budowy tarczy. Jednak Rosja poczyniła w Syrii i na Ukrainie kroki wrogie Stanom Zjednoczonym, co spowodowało powrót do napiętych relacji. Zbliżenie amerykańsko-rosyjskie za prezydentury Trumpa byłoby to już trzecia taką próbą w tym stuleciu. W Polsce Trumpa popierają głównie środowiska antysystemowej prawicy, głównie młodzi widzowie kanału Mariusza Maksa Kolonki na „YouTube”, który nagina rzeczywistość do dobrze się sprzedającej ideologii i przekonuje, że Trump jest przyjacielem Polski.

Gdy kończę pisać artykuł, patrzę na wyniki na półmetku prawyborów. U Republikanów sytuacja jest skomplikowana i nieprzewidywalna – prowadzi Donald Trump, ale nie na tyle wyraźnie, żeby być pewnym nominacji. Po piętach depcze mu Ted Cruz. Nie można też wykluczyć, że w razie nieuzyskania przez żadnego z nich bezwzględnej większości kandydatem zostanie ktoś trzeci. Jaśniejsza sytuacja jest u Demokratów – wyraźnie wygrywa Hillary Clinton i to prawdopodobnie ona wystartuje 8 listopada w wyborach. Jej kandydatura ma swoje wady – jako

osoba będąca przez lata blisko szczytów władzy jest bardziej zepsuta przez wielką politykę, przez lata prezentowała konformistyczne poglądy, a sponsorami jej kampanii są głównie banki. I nie jest Sandersem – stałym w poglądach prospołecznym politykiem, którego kampanię sponsorują głównie związki zawodowe i miliony drobnych darczyńców. Czy jest ona lepsza od kandydata Republikanów? Niepewność co do tego, kto nim będzie, uniemożliwia mi udzielenie jasnej odpowiedzi. Na pewno jest lepsza od Trumpa – lepszy powolny dryf USA w kierunku centrolewicowym niż ostry skręt w stronę nacjonalizmu. Ponadto chciałbym kolejnych czterech lat rządów dających względne poczucie bezpieczeństwa Polsce, a pod tym względem Clinton prezentuje się nieco lepiej niż Trump. W rywalizacji z nim trzymam więc kciuki za kandydatkę Demokratów, bo życzę dobrze zarówno USA, jak i Polsce. Natomiast w rywalizacji z Tedem Cruzem jej przewaga w moich oczach zmniejsza się – konserwatywny libertarianizm Cruza jest z punktu widzenia ideologii mniejszym złem niż nacjonalizm Trumpa. Clinton ma nadal ideologiczną przewagę nad Cruzem, ale po nim można się spodziewać bardziej wiarygodnej i konsekwentnej polityki zagranicznej. W razie republikańskiej nominacji dla Cruza i jego rywalizacji z Clinton będę miał więc dylemat – uważam go za gorszego kandydata dla USA, ale lepszego z punktu widzenia interesów Polski.

Autorstwo: Mariusz Braszkiewicz

Źródło: NowyObywatel.pl